

Co w szkole piszczy?

NR 7

13 XI 2007

PRESS-ZEZ

GAZET
UCZNIOWSKA

W numerze:

Święto Zmarłych - czy rzeczywiście czas zadumy?	2
Polak patriota?	3
„Nie bądź dumny, idź do urny!”, czyli szkolne wybory	4
Przyszłość zależy od nas !!!	5
I Ty będziesz absolwentem...	6
„... Wielki John nadciąga...” - czyli o drodze zawodowej i fascynacjach Sora Lubelskiego	7
DROGA PRZEZ PIEKŁO czyli jak zostać rodzicem w 48 godzin	8
O wymianie słów kilka	9
Prawda o internecie	10
Uwaga! - nadchodzi depresja	11
Rosyjska ruletka	11
A Ty? - Co robisz w piątkowe popołudnie?	13
Młodzież pisze...	
- Z pamiętnika nastolatki	14
- Opowiadanie bez tytułu	16
- Wiersze	18

Kilka słów od redakcji

Nasza gazetka nie ma ambicji zmieniania świata. Nie chcemy też zmieniać Was. Nie zamierzamy pouczać, moralizować, narzucać swoich poglądów, przekonywać do... Nasz najważniejszy cel - pisać. O nas, naszych zainteresowaniach, o tym, co budzi nasz sprzeciw lub aprobatę. Chcemy reagować na wydarzenia szkolne i pozaszkolne, komentować to, co dzieje się wokół, dzielić się spostrzeżeniami, rozmawiać z ciekawymi ludźmi, popularyzować interesujące pomysły. I - przede wszystkim - poznawać się wzajemnie, bo w końcu przeglądamy się w tym, co piszemy, co mówimy. Dlatego też zachęcamy wszystkich, którzy czytają ten pierwszy numer, by się do nas przyłączyli. Piszcie do nas - w końcu to ma być, takie jest założenie, gazetka o nas, dla nas, uczniów tej szkoły. Dzięki Wam może stać się ciekawsza, bardziej aktualna.

Mamy nadzieję, że przyjmiecie ten numer z całą wyrozumiałością i sympatią. Że znajdziecie w nim coś dla siebie.

Z serdecznymi pozdrowieniami

- Zespół Redakcyjny

Jeśli chcesz:
- podzielić się z innymi swoim problemem,
- podjąć jakiś temat w gazetce,
- pozdrowić kogoś na łamach gazetki
...lub po prostu nie masz co robić,
to... NAPISZ DO NAS!!! Każdy list
przeczytamy, a najciekawsze opublikujemy
gazetka.uczniowska@op.pl

Dzień Wszystkich Świętych - czy rzeczywiście czas zadumy?

W tym roku, zastanawiając się nad zbliżającymi się Zadzuszkami i Dniem Wszystkich Świętych, wcale nie myślałam o tym, że znowu szykuje się brzydka pogoda i będzie padać, że znowu zmoknę na cmentarzu. Przeciwnie, uderzyło mnie coś zupełnie innego, co martwi znacznie bardziej niż deszcz. Chodzi mi mianowicie o zatracenie znaczenia tych dni, tego nastroju refleksji, który powinien nam wtedy towarzyszyć (od razu chciałabym zastrzec, że nie mówię o wszystkich, aczkolwiek o większości, przygnębiającej większości). Zadzuszki, Święto Zmarłych - stały się obowiązkiem, koniecznością. Zmieniło się podejście ludzi do tego dnia, w którym przecież powinniśmy pamiętać o naszych bliskich, znajomych, wszystkich nieobecnych.

Otóż jak wygląda taki dzień w przeciętnym polskim domu? Człowiek sobie rano wstaje ze świadomością, że będzie musiał iść na cmentarz (właśnie - musiał, a nie - chciał). A więc idzie, zapala świecę, może nawet dwie, położy kwiatek, pomodli się trochę - a właściwie to recytuje wyuczoną formułkę, bo rzadko zastanawia się nad tym, co mówi - i wraca do domu zadowolony, uważa, że zrobił wszystko, co powinien, że spełnił obowiązek.

I w tym momencie powiedzmy - stop. Bo przepraszam, ale... to już, tak? Po wszystkim? Zastanówmy się, co tak naprawdę po drodze zgubiliśmy. Czy ktoś jeszcze pamięta, że w tym dniu idzie do osoby, która co prawda już nie

żyje, została pochowana, ale przecież była w jakiś sposób bliska jego sercu? Na cmentarz nie idziemy już po to, by odwiedzić zmarłego, oddać mu szacunek i poświęcić mu czas, ale traktujemy to jak obowiązek - jak zresztą wszystko, co jest w pewien sposób narzucone.

Pierwszego listopada dzieci mają wolne w szkole, dorośli nie idą do pracy - po to właśnie, żeby mieli czas pójść na cmentarz. Niestety, okazuje się, że choć - teoretycznie - powinni zatrzymać się na chwilę, zastanowić nad sobą, własnym życiem, powspominać tych, którzy odeszli - to jednak Święto Zmarłych zamienia się w zwyczajną gonitwę (bo przecież trzeba odwiedzić groby całej rodziny, znajomych) i nikt już nie zastanawia się nad prawdziwym znaczeniem tego dnia. Wszyscy pierwszego listopada biegną na groby, o których - i o ludziach w nich leżących - nie pamiętają przez resztę roku. Może i drastyczne stwierdzenie, ale niestety prawdziwe. Bo, okazuje się, stosunek do dnia zmarłych świadczy przede wszystkim o nas - **z y w y c h**. Część z nas ogarnia też wszechogarniający szaf na zakupy (a przecież nie znicze i wiązanki są najważniejsze), dla innych jest to okazja do spotkania z rodziną, zjedzenia rosółki i wypicia kolejnego kieliszka oraz brania udziału, może i podświadomie, w „konkursie” na najładniejszy grób i najładniejszą, najbardziej wymyślną kompozycję ze zniczy. Świeca na grobie podobno ma być

symbolem nieśmiertelności i obecności Chrystusa. Znicze mają być czymś, co MY ofiarujemy zmarłym, a nie SOBIE - jako dodatek estetyczny. Może nawet nie byłoby tak źle, gdyby nie to, że coraz częściej myśli się już tylko o tym, co na grobie się postawi i jaki kolor zniczy kupić, tak żeby pasowały do kwiatów lub wieńca. Gdyby nie towarzyszyła temu wszystkiemu pustka i sztuczność - bo przecież jasne, że te kwiatki kupujemy często dla innych ludzi, żeby sobie popatrzyli, że nas stać..., a nie w hołdzie zmarłym.

To święto powinno nas skłaniać do refleksji w sposób szczególny. Bo przecież chodzi o śmierć, zmarłych, pamięć o nich. Każdy by chciał, żeby po śmierci bliskie mu osoby go zapamiętały i żeby dalej był w ich sercach. A jak my czcimy pamięć o tych, którzy już **o d e s z l i**? Zwracam się z prośbą do wszystkich. Zastanówmy się, jaki mamy stosunek i do tego święta, i do wielu, wielu innych życiowych spraw, które - kiedyś ważne - straciły dla nas na znaczeniu. Albo do ludzi, których już nie ma. Pomyślmy o tym, o czym zapomnieliśmy. Znajdźmy sens - tego, co robimy, naszego życia. Odnajdźmy sens tego tak ważnego Święta.

Zuzanna Paszkowska

Polak patriota?

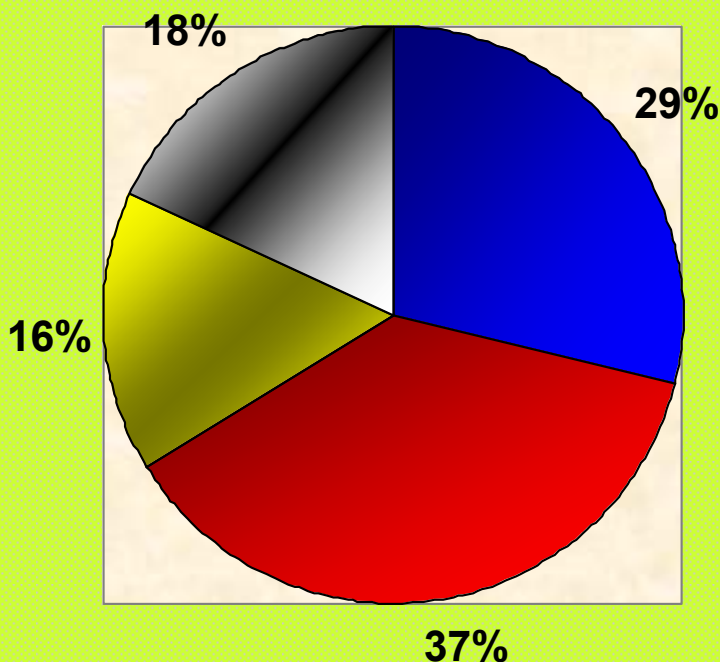
Pojęcie patriotyzmu, przynależności do - narodu czy kultury, jest dzisiaj pojęciem dość złożonym. Trudno niekiedy określić, czym ma się przejawiać patriotyzm w XXI wieku. Dawniej naród, język, sposób myślenia o ojczyźnie - to były najważniejsze elementy tożsamości, one

świadczyły o człowieku, definiowały go. Dziś sytuacja się zmieniła - bo zmieniło się nasze nastawienie do tych wartości. Zmienił się ludzie i ich sposób myślenia o kraju, w którym żyją.

Przeprowadzona przez nas ankietę miała pokazać, jakie postawy wobec narodu i pojęcia patriotyzmu zajmują uczniowie naszej szkoły. Czy większość jest patriotami, czy nacjonalistami? A może szowinistami? Ilu z nas uważa, że ojczyzną jest cały świat?

Ankietowani musieli ustosunkować się do następujących stwierdzeń:

1. Nie ma takiego kraju, za który warto by było umierać.
2. To, jakiej się jest narodowości i jakim językiem się mówi, nie ma żadnego znaczenia,
3. Dobry, czy zły, ale zawsze mój kraj,
4. Mniejszości narodowe w Polsce



- Kosmopolity
- Patrioci
- Szowiniści
- Nacjonalisci

nie powinny mieć żadnych specjalnych praw,

5. Dobro mojego kraju jest wartością najwyższą,

6. Mój kraj: co dobre - zachować, co złe - naprawić,

7. W przypadku, gdyby któreś z sąsiednich państw dokonało zbrojnej agresji na moją ojczyznę, walczyłbym w jej obronie,

8. Szanuję inne kultury, ale polska kultura i tradycja jest mi najbliższa,

9. Polska dla Polaków.

10. Władzę w Polsce powinni sprawować wyłącznie ludzie pochodzenia polskiego,

11. Powinniśmy odzyskać - choćby i zbrojnie - utracone w przeszłości terytoria,

Uczniowie mieli do wyboru trzy odpowiedzi: a. tak, b. nie, c. trudno powiedzieć. Okazało się, że większość pytanych podzieliła się na dwie grupy - patriotów i kosmopolitów. Zdarzają się jednak

także nacjonalisci i szowiniści,

Na podstawie ankiety wywnioskowaliśmy, że za patriotów uważa się 37% pytanych, 16% wykazuje postawy szowinistyczne. Kosmopolityzm popiera 29%, a nacjonalizm 18%.

Po analizie wyników nasunęło nam się pytanie - czy rzeczywiście aż tylu uczniów stanęłoby w obronie własnej ojczyzny, gdyby zaistniała taka potrzeba? Czy te 18% pytanych naprawdę uznaje bezwzględną wyższość swojego kraju? Tego się nie dowiemy. Pozostaje nam wierzyć, że ankietowani odpowiadali szczerze i z pełną świadomością.

Ankietę przygotowali:
Krystian Grzelak
Krzysztof Konstantinow

„Nie bądź durny, idź do urny!”, czyli szkolne wybory

21 października odbyły się, według niektórych najważniejsze po 1989, wybory. Głosowali wszyscy, którzy ukończyli 18. rok życia. Wybory poprzedziła oczywiście - kampania parlamentarna poszczególnych partii, ale także kampania na rzecz w tych wyborach uczestnictwa, bo - jak wszyscy wiemy - frekwencja Polaków chodzących do urn jest dość niska. Nasz szkoła również prowadziła swego rodzaju kampanię... Otóż my, uczniowie, mieliśmy 19 października możliwość zagłosowania na wybraną przez nas partię stworzoną również przez - uczniów. Nad całym pomysłem i jego realizacją opiekę sprawowali nauczyciele historii - pani Kmieczińska i pan Jarosiewicz.

Partii było kilka, między innymi PUPA czy GTW. Różne były także pomysły na programy - darmowa kawa na pierwszych zajęciach, odpytywanie tylko wtedy, gdy zdążymy się nauczyć... Różne też hasła wyborcze. Liderzy rozwieszali w szkole plakaty, korzystali z radiowęzła, czyli po prostu robili wszystko, żeby - wygrać.

Czemu tak naprawdę służyły wybory szkolne? Jakie plany i założenia mają nasi politycy? Czy rzeczywiście chcą coś zmienić? A może to tylko zwykła ściema? O tym właśnie rozmawiałam z Anią Gąsiorowską, kandydującą z *Jakaś tam partią rolniczą*. **Jakie są Twoje najbliższe plany polityczne?**

A.G.: Chcę, aby nasza *Jakaś tam partia rolnicza* dotarła na wyżyny, żebyśmy mogli zrealizować swoje

założenia, żeby uczniom żyło się lepiej, żeby przychodzenie do szkoły aż tak nas nie męczyło - dlatego chcemy m.in. ograniczyć ilość książek przynoszonych do szkoły. Czasami przecież nie mieszczą się w plecaku. **Myślisz, że to jest możliwe?**

A.G.: Nie wszystkie nasze założenia wejdą w życie, ale będziemy dążyć do ich realizacji w jak największym stopniu.

A jak oceniasz kampanię wyborczą swoich przeciwników?

A.G.: Była bardzo burzliwa. Mieli większe plakaty, których hasła popierał Anusiak, ale nam pomagało wiele osób z zewnątrz, za co jestem bardzo wdzięczna. Poza tym popierał nas też Czesio. **Ty raczej unikałaś rozgłosu. Myślisz, że autoreklama pomaga w wyborach?**

A.G.: Oczywiście, że tak. Są osoby, które głosują na kogoś tylko dlatego, że jest np. przystojny i fajny. Ale to mi nie odpowiada, myślę, że nie takie powinny być powody oddania głosu na danego kandydata - nawet jeśli to tylko wybory szkolne, które przecież nie będą miały wpływu na realną sytuację w Polsce. To nie do końca jest zabawa - w końcu wyrażamy swoje poglądy i za poglądy chcemy zyskać głos. Przynajmniej ja tak na to patrzę. **A jak oceniasz swoje szanse na wygraną?**

A.G.: Myślę, że są małe, ale zawsze trzeba próbować, może za rok będzie lepiej. W końcu zdobyłam jakieś doświadczenie.

Gdybyś dostała szansę wystąpienia w telewizji w dzień przed

głosowaniem, co powiedziałaś swoim wyborcom?

A.G.: Głosujcie na mnie. Zmienię wasze życie. Nawet nie wiecie jak...

W takim razie wszystkim uczniom życzę tych zmian a Tobie sukcesu. Dziękuję za rozmowę.

Jowita Jędras

Przyszłość zależy od nas !!!

DZIECI I RYBY GŁOSU NIE MAJĄ...



...ale Ty
TAK.

**Nie bądź
dziecko!**

ZAGŁOSUJ!

Skąd się to w nas bierze???

W związku ze zbliżającymi się w naszym kraju wyborami parlamentarnymi, postanowiłam przeprowadzić mini sondę wśród pełnoletnich uczniów naszej szkoły. Ciekawiły mnie poglądy moich rówieśników. Na równi uplasowały się dwa dominujące ugrupowania PO i PiS, pozostałe partie otrzymały znikomą ilość głosów. Ale nie to zwróciło moja uwagę. Okazało się, iż większość z pytanym przeze mnie osób stwierdziła, że nie wie na kogo odda swój głos, bądź, co gorsza, w ogóle nie pójdzie do urn. Szczerze powiedziawszy byłam tym zaskoczona, a nawet rozczarowana. Kto jak kto, ale uczniowie naszej szkoły powinni być świadomi swych wyborów i ich konsekwencjami.

Przerażająca jest bierność naszego społeczeństwa. A wydawać by się mogło, że świeżo upieczonych osiemnastolatków owa bierność nie dotyczy.

Znane z wielu reklam hasło zachęcające do wzięcia udziału w wyborach : **NIE IDĘ NA WYBORY , BO MÓJ GŁOS NIC NIE ZNACZY !!!**,trafnie oddaje podejście naszego społeczeństwa do obowiązków obywatelskich, a co za tym idzie do patriotyzmu. Na szczęście w dzisiejszych czasach, nie musimy wyrażać go na płaszczyźnie walki z zaborcą. Dlatego więc, dla dobra ojczyzny a zarazem dla naszego dobra powinniśmy z uśmiechem na twarzy czynić swoją powinność. Powinniśmy brać przykład z naszych ro-

daków mieszkających na Wyspach, którzy tłumnie udadzą się na wybory i często będą spędzali kilka godzin w lokalach wyborczych czekając na to by postawić jeden krzyżyk przy swoim faworycie. Mimo iż mieszkają poza granicami Polski , bez wątpienia zasługują na miano **PRAWDZIWYCH POLAKÓW.**

Magda

I Ty będziesz absolwentem...

W tym roku, pod koniec września, uczniowie naszej szkoły brali udział w VII Zjeździe Absolwentów. Przyjechało ponad 400 osób, które - z mniejszym bądź większym sentymentem - wspominały szkołę, nauczycieli, samych siebie sprzed lat. Mogli zastanowić się nad przemijającym czasem, zmianami, których ten czas dokonał, ale także - co równie ważne - spotkać się z dawno niewidzianymi kolegami i koleżankami z ławki szkolnej.

Zjazd był również istotny dla uczniów - część z nich, oprócz uczestnictwa w najważniejszych wydarzeniach (m.in. msza czy uroczysty przemarsz ulicami miasta), zaangażowała się w pomysł zebrania wspomnień absolwentów. Poświęcili swój czas, by porozmawiać z ludźmi starszymi od nich niekiedy o kilkadziesiąt lat. Wśród uczniów tych byli: Monika Lutomińska i Zuzanna Paszkowska (2K), Maciej Giżyński, Justyna Chrzanowska (3A); Magda Pokorska, Weronika Wardzyńska (3G), Asia Borowska, Tomasz First, Ania Gąsiorowska i Ilona Kamińska (1B). O podzielenie się z nami wrażeniami po Zjeździe Absolwentów poprosiłam Asię i Anię.

Dlaczego w ogóle zainteresowałyście się samym pomysłem rozmowy z Absolwentami naszej szkoły?

Asia Borowska: Chciałyśmy sprawdzić, jak - i czy w ogóle - zmienił się ich stosunek do szkoły, jak wspominają czas w niej spędzony.

Ania Gąsiorowska: Czy, patrząc z perspektywy lat, są zadowoleni z tego, co robili, będąc uczniami.

Czyli chcielibyście porównać ich i Wasz stosunek do szkoły?

A. B.: Myślę, że to też.

No właśnie... Czym jest dla Was szkoła?

A. B.: Traktujemy szkołę poważnie. Mamy do niej naprawdę pozytywny stosunek, bo przecież od niej - przynajmniej w znacznej części - zależy nasza przyszłość.

A. G.: Chociaż... Z drugiej strony jesteśmy młodzi i wiadomo, że nikt z nas szkołą zachwycać się nie będzie, bo po prostu nie wypada, a poza tym zawsze jest na co ponarzekać. Nawet jeśli jest świetnie, to niekoniecznie o tym mówimy. Ale, i to właśnie wynikało z rozmów z absolwentami, szkołę się doceni - po jej ukończeniu. Absolwenci mówili, że to szkoła pozwoliła im wkroczyć w dorosłość, w jakimś sensie ich ukształtowała, określiła, kim będą.

Co dają rozmowy z Absolwentami?

A. B.: Można się dowartościować. Naprawdę. Bo ja sobie na przykład uświadomiłam, że chodzę do szkoły z rzeczywiście wielkimi tradycjami. To miłe.

A. G.: Ciekawa jest też obserwacja tego, co ludzie mówią, co czują. Jeden pan, z którym rozmawialiśmy, bardzo się wzruszył, kiedy zaczął wspominać siebie i swoich kolegów z okresu szkoły.

Czy dostrzegacie podobieństwo między sobą a nimi, ludźmi o wiele lat od Was starszymi? Jako uczniowie byli tacy jak Wy?

A. B.: Nie, byli gorsi.

W jakim sensie?

A. B.: Może nie tyle gorsi, ile bardziej buntowniczy, odważniejsi niż my. Opierali się narzuconym odgórnie rygorom. Chętniej się sprzeciwiali, potrafili się zmobilizować.

A. G.: Przecież oni protestowali

przeciwko ustrojowi, w którym żyli, przeciwko kłamliwej ideologii. Jeden z absolwentów opowiadał nam, że, będąc uczniem, uciekał z klasą z tych wszystkich uroczystości państwowych. Nie wiem, czy teraz taka solidarność byłaby możliwa - że wszyscy coś postanawiamy i dotrzymujemy słowa, że nikt się nie wyłamuje.

A. B.: Ale to też zależy od człowieka. Myślę, że dziś też znaleźliby się spośród nas tacy, którzy by się nie wyłamali.

Inne jest więc pojęcie solidarności. To najważniejsza różnica?

A. G.: Myślę, że równie istotna jest zmiana stosunku nauczyciela do ucznia i odwrotnie. Nauczyciele są dziś bliżej ucznia i - według mnie - to jest duży plus.

A. B.: Tylko trzeba umieć to docenić. Nie rozumiem na przykład, jak można nie okazywać szacunku nauczycielowi, który na ten szacunek naprawdę zasługuje, który jest życzliwy, otwarty.

A. G.: Relacje nauczyciel - uczeń bardzo się zmieniły, bo zmieniła się też definicja wolności, z której uczeń korzysta. I nie zawsze jest to wolność, której powinno się tak chętnie używać. Poczucie odpowiedzialności też jest ogromnie ważne.

Odpowiedzialność to jednak domena dorosłości. Czujecie się już dorośli?

A. B.: Nie.

A. G.: Ja nawet czasami lubię, jak ktoś inny podejmie za mnie decyzję.

Dziękuję za rozmowę.

„...Wielki John nadciąga...” - czyli o drodze zawodowej i fascynacjach Sora Lubelskiego

Sor Lubelski to jeden z najbardziej lubianych nauczycieli naszej szkoły. Ma poczucie humoru, dzięki któremu atmosfera na zajęciach jest (prawie zawsze) przyjemna, a jednocześnie potrafi zaciekawić swoim przedmiotem, pokazać, że geografia może być pasją. Ze zdobyte na zajęciach informacje są naprawdę istotne, że będą się liczyć nawet wtedy, gdy już dawno nie będziemy uczniami tej szkoły. W rozmowie z Sorem pytaliśmy o geografii, początki pracy i ... historię Wielkiego Johna.

Od ilu lat jest Sor nauczycielem?

Właśnie rozpocząłem szesnasty rok pracy, mam więc za sobą piętnaście lat. Ale, szczerze mówiąc, rzadko zastanawiam się nad tym, że to już tyle lat upłynęło. Czas naprawdę pędzi.

Dlaczego Sor zainteresował się geografiami? Od początku była to Sora pasja?

Co prawda geografii lubiłem od dzieciństwa, jednak początkowo - takie były moje plany - zamierzałem zostać inżynierem o specjalności obróbka skrawaniem. Kiedy byłem w czwartej klasie technikum mechanicznego w Płocku, zdecydowałem, że ten zawód jednak mnie nie interesuje, że nie z nim chciałbym wiązać swoją przyszłość. Wybrałem coś zupełnie innego - geografii właśnie. Polubiłem ją w szkole dzięki nauczycielowi Stefanowi Nowickiemu, który pokazał, że to naprawdę fascynujący przedmiot.

Wielu nauczycieli dość wcześnie wybiera ten zawód, to nie są decyzje spontaniczne, lecz realizacja pewnych założeń. Sor również wiązał z nim swoje plany?

Nie, tak jak wspominałem, miałem być inżynierem. Z wykształcenia jestem geologiem. W domu robię wszystko - od murowania, zakładania dachu po rzeźbienie w drewnie. No cóż, więc ta zdobyta wcześniej wiedza się przydaje... Po studiach odrzuciłem propozycję pracy na UMK w Toruniu i przyjechałem do Sochocina, gdzie wykończyłem dom zbudowany przez moich rodziców. Tak się złożyło, że miałem możliwość rozpoczęcia pracy w zawodzie nauczyciela geografii w szkole podstawowej w Sochocinie. I w ten właśnie sposób zacząłem układać swoje dorosłe już życie.

Często powtarza nam Sor, że geografia to trudny przedmiot, czy wywnioskował to Sor z własnego doświadczenia, czy z ocen, jakie dostają uczniowie?

Kiedyś, żeby się dostać na geografii, trzeba było być naprawdę dobrym z matematyki. W geografii jest dużo zadań trudnych, wymagających logicznego myślenia, ale też dokładności i cierpliwości. Czasami to żmudna praca, zajmująca wiele czasu. Trudne są na przykład tematy związane z astronomią, układaniem kolejności zdarzeń. Jeśli chodzi o naukę w szkole, to uczniowie dostają różne oceny - w zależności od ich uzdolnień i wysiłku wkładanego w rozwiązywanie zagadnień. A oceny... Myślę, że jest sporo piątek, nie ma co narzekać. Staram się trudne zadania wytłumaczyć najlepiej jak potrafię.

Skoro już jesteście przy nauce... Jak zmienili się uczniowie na przestrzeni lat?

Są coraz bardziej leniwi.

Czy Sor zdaje sobie sprawę z tego, że jest jednym z najbar-

dziej lubianych nauczycieli w naszej szkole?

Nie, nie mam tego przekonania. Bardzo często jestem nieprzyjemny i dziwię się, że ktoś z uczniów może mnie lubić. Ale, obiecuję, będę starał się być dla was lepszy.

Czy od zawsze miał Sor takie poczucie humoru? Często przecież Sor żartuje także na na lekcjach, dzięki czemu przyjemniej nam się pracuje.

Trzeba żyć na luzie, starać się nie przejmować tym, na co często nie mamy wpływu. Mam wielu przyjaciół, którzy opowiadają liczne kawały, razem się śmiejemy - w ten sposób można odreagować, odstresować się. Moja żona twierdzi, że jestem pracoholikiem i pewnie tak jest. Pracoholikowi potrzebny jest dobry humor. Wtedy łatwiej nabrać dystansu do tego, co dzieje się wokół.

Jest jeszcze coś, co nas, uczniów, niezwykle intryguje. Kiedyś wspominał Sor o istnieniu... Wielkiego Johna i my się cały czas zastanawiamy, kim jest ten tajemniczy Wielki John.

W młodości oglądałem westerny. John to taki... Jan z westernu. Moi koledzy na studiach często powtarzali: „Uciekamy, bo Wielki John nadciąga” albo „Szukajcie a znajdziecie” - tak powiedział wielki uczony radziecki - Winnetou”. Tak... studia to były naprawdę ciekawe czasy.

Wywiad przygotowali:

Ilona Kamińska

Tomasz First

DROGA PRZEZ PIEKŁO

czyli jak zostać rodzicem w 48 godzin

Płacz, nieprzespane noce i brak wolnego czasu dobrze znają wszyscy rodzice. Ci, którzy nie mieli pod opieką dziecka, nie są w stanie wyobrazić sobie, jak wygląda życie z noworodkiem. Wśród tych osób znajdują się również nastoletnie dziewczęta oraz chłopcy, którzy często mają mylne pojęcie o wychowywaniu dzieci. Uczniowie naszej szkoły mieli okazję przekonać się na własnej skórze, jak są one absorbujące.

„Bądź odpowiedzialny - wychowanie do odpowiedzialności i partnerstwa w rodzinie”

Projekt, o którym mowa, to forma ćwiczeń uzupełniających zajęć z zakresu wychowania do życia w rodzinie. Polega on na opiece nad trzymiesięcznym noworodkiem (symulator SYN), który płacząc sygnalizuje swoje potrzeby. Uczeń lub uczennica musi je zaspokoić, przewijając, karmiąc czy kołysząc. Nasza szkoła jako jedyna w powiecie, a jedna z 90 w kraju, otrzymała 2 symulatory w roku szkolnym 2004/2005, kolejne dwa w roku następnym. Program poprzedzony był kursem dla nauczycieli. Następnie kolejno wszyscy chętni uczniowie klas trzecich gimnazjalnych, oczywiście za zgodą rodziców, zabierali lalkę do swoich domów i w ciągu weekendu wcielali się w rolę rodziców. Warto wspomnieć, że to oni wybierali stopień trudności testu.

Zmiany w życiu rodziny

Nie lada sprytem należy się wy-

kazać, aby prawidłowo rozpoznać potrzeby noworodka. Z braku werbalnych form komunikacji, pozostaje zdać się na własne wyczucie i intuicję. Ciężko jednak zdobyć się na cierpliwość w środku nocy, będąc wyrwanym z blęgiego snu. Rodzina oczywiście służy radą i pomocą, jednak to na bezpośredniego opiekuna spada ciężar odpowiedzialności. Natalia, jedna z dziewcząt opiekujących się symulatorem, stwierdziła, że decydując się na udział w programie, chciała sprawdzić swoje możliwości, dlatego wybrała poziom trudny. Nieprzespane noce i zmęczenie nie poszły jednak na marne. Natalia okazała się wzorową mamą, zapracowała na 100 % skuteczności! W niedzielny wieczór, już po zakończeniu pracy symulatora, postanowiła, że jednak prawdziwą matką zostanie dopiero po zakończeniu edukacji i znalezieniu odpowiedniej pracy, ponieważ wychowanie dziecka to wielka odpowiedzialność. Inne dziewczęta wyciągnęły z tego doświadczenia podobne wnioski. Nie można jednak zaprzeczyć, że oprócz fizycznego zmęczenia, my, biorący udział w programie, czuliśmy satysfakcję, kiedy prawidłowo wykonaliśmy jakąś czynność, kiedy bobas przyjemnie gaworzył czy wydawał z siebie słodkie pochrapywanie. Niewątpliwie w większości z nas opieka nad noworodkiem obudziła instynkt macierzyński i chęć posiadania w przyszłości dziecka. Martika chętnie zgodziła się na udział w akcji, uznała to za ciekawe doświadczenie. Byłam naocznym

świadkiem jej opieki nad Zuzią (bo tak nazwała swoją córeczkę J) i stwierdzam, że była bardzo troskliwą mamą, cierpliwie opiekowała się dzieckiem. Jak do tej pory w naszej szkole liczba dziewcząt opiekujących się SyNem znacznie przewyższała liczbę chłopców - odważnych mężczyzn było tylko dwóch.

Czy było warto?

Program MEN „Bądź odpowiedzialny - wychowanie do odpowiedzialności i partnerstwa w rodzinie” miał uświadomić młodym ludziom, jak dużo uwagi, miłości i czasu potrzebuje niemowlę, jakie zmiany w życiu rodziny ono wprowadza, jak również to, że potrzeby dziecka wymagają zrozumienia i odpowiedzialności. W XXI wieku, kiedy mamy coraz więcej zjawisk patologicznych, kiedy „dzieci mają dzieci”, program tego rodzaju jest bardzo potrzebny. Jeżeli komuś z osób uczestniczących w programie wydawało się, że opieka nad noworodkiem to wyłącznie zabawa, to dwa dni z SyNem diametralnie zmieniły ten pogląd. Uświadomiliśmy sobie, jaką odpowiedzialnością jest wychowywanie dziecka, ile trudu i poświęcenia trzeba w nie włożyć. Miejmy nadzieję, że prowadzony program edukacyjny przygotowuje młodych ludzi do podjęcia w przyszłości w pełni świadomej decyzji o rodzicielstwie, nauczy odpowiedzialności za dziecko, jego rozwój i wychowanie.

Ada Szymborska

● wymianie słów kilka

W dniach 7 X-15 X uczniowie naszej szkoły przebywali na wymianie uczniowskiej w Hechingen (Niemcy). Jest to nieduże miasto położone niedaleko Stuttgartu w landzie Baden-Württemberg.

Wyjechaliśmy sprzed szkoły, razem z nauczycielami - panią Całą i panią Głowacką - w niedzielę 7 października o godzinie 20. Jechaliśmy przez 20 godzin, w Hechingen byliśmy o 17 w poniedziałek - ale dzięki temu mogliśmy się zintegrować, podzielić oczekiwaniami co do wyjazdu. Wsiadając z autobusu, każdy z nas był trochę zdenerwowany, niepewny, czy zrozumie się ze swoim niemieckim kolegą. Na szczęście powitanie było bardzo miłe, rozładowało napięcie. Później pojechaliśmy razem z naszymi gospodarzami do ich domów. Wieczory organizowały rodziny Niemców, zazwyczaj było ciekawie.

We wtorek do południa mieliśmy tzw. Stadtspiel, dostaliśmy kartkę z kilkoma pytaniami, na które mieliśmy odpowiedzieć podczas spaceru przez miasto. Potem zorganizowano nam wycieczkę do Tybingi - pięknego renesansowego miasta uniwersyteckiego. Widzieliśmy tam renesansowy zamek, stylowe kamieniczki w rynku. Następnego dnia rano byliśmy w szkole, tłumaczyliśmy z niemieckiego teksty o słynnych Żydach z Hechingen. Później teksty te wykorzystaliśmy, przygotowując projekty.

Po południu zwiedzaliśmy stary cmentarz żydowski, a także obecnie nieużywaną synagogę. Spotkaliśmy się tam z polskim Żydem, urodzonym pod Rado-

miem, który przyjechał do Hechingen odwiedzić grób swojego brata. Porozumiewaliśmy się z nim w naszym ojczystym języku, mogliśmy zadać pytania, które nurtowały niektórych z nas - w końcu mężczyzna ten to świadek i uczestnik historii.

W czwartek 11 X byliśmy w Konstancji, pięknym mieście nad brzegami Jeziora Bodeńskiego. W Konstancji spędziliśmy około 3 godzin, mieliśmy czas wolny, który mogliśmy spędzić na zwiedzaniu. Później popłynęliśmy statkiem - najpierw na wyspę Mainau, skąd po przesiadce na następny statek doплыliśmy do niedużego miasta, w którym odwiedziliśmy muzeum o wczesnym osadnictwie neolitycznym nad Jeziorem Bodeńskim. W piątek rano pracowaliśmy dalej nad dokumentacją naszych projektów. Mieliśmy też na ten dzień zaplanowany wyjazd do Stuttgartu, ale został on odwołany z powodu strajku kolejarzy - spędziliśmy więc ten czas z rodzinami, u których mieszkaliśmy i które zorganizowały nam zajęcia. Część osób tego dnia odwiedziła Zamek Hohenzollernów w Hechingen. W sobotę wszyscy pojechaliśmy do Heidelbergu, miasta, w którym otwarto pierwszy na terenie Niemiec uniwersytet. Widzieliśmy tam zniszczony Zamek, przeszliśmy się po tzw. Drodze filozofów, z której rozciągała się piękna panoram Heidelbergu.

Ostatni dzień zorganizowały nam rodziny naszych niemieckich kolegów. Większość z nas pojechała wtedy zwiedzać Stuttgart. O godzinie 18.45 mieliśmy zbiórkę,

a godzinie 19.15 wyjechaliśmy do Polski.

Wymiana nam, uczniom, bardzo się podobała. Podczas tego tygodnia na pewno wiele się nauczyliśmy. Mogliśmy sprawdzić znajomość języka niemieckiego w codziennej, zwyczajnej rozmowie. Zdobyliśmy także cenne informacje o kulturze i tradycji niemieckiej. Oglądaliśmy zabytki, podziwialiśmy wszystko to, czym Niemcy się szczycą. Uczestniczyliśmy w życiu niemieckich rodzin, obserwowaliśmy ich zachowania, sposób bycia. Mieliśmy również okazję być na zajęciach w szkole. Teraz czekamy do kwietnia, aby spotkać się znowu z naszymi kolegami - tym razem w Polsce.

Andrzej Zmysłowski

Prawda o internacie

Internat... Tylu ludzi chciałoby tam mieszkać... To musi być niesamowite przeżycie, prawie jak studia! Ale czy na pewno? Istnieje wiele mitów na temat internatów, chociażby fala. Inna sprawa - imprezy. Chyba nie... Obóz przetrwania? Może czasami. Jednak jest to głównie miejsce, gdzie mieszkają uczniowie, którzy nie mogą lub po prostu nie chcą dojeżdżać do szkoły. Jak to jest być mieszkańcem internatu?

Nauka i obowiązki

W naszej szkole internat jest bardzo ważną instytucją, nie tylko dla uczniów, którzy tam mieszkają, ale również dla innych. Ze stołówki mogą korzystać wszyscy, którzy złożą podanie z taką prośbą. Mieszkańcy mogą przyjeżdżać do internatu już w niedzielę od godziny 16.00, a wyjeżdżać do domu do soboty do 10.00. Kierownik internatu, pani Bernarda Wyrzykowska, przedstawiając ogólne zadania mieszkańców, wskazała regulamin i harmonogram dnia:

- Każdy ma swoje obowiązki i prawa, uczniowie muszą sprzątać swoje pokoje, wynosić śmieci, czasem też zmywać po kolacji. Mogą się uczyć w swoich pokojach, jednak często wybierają inne miejsca. - to prawda. - Najlepiej się uczyć na świetlicy, bo w pokojach jest zbyt głośno, dużo osób - powiedziała jedna z mieszkanek internatu - bardzo trudno jest się uczyć, gdy wolelibyśmy robić coś innego, na przykład spotkać się z przyjaciółmi. Jednak uczniowie starszych klas chętnie pomagają w trudnych zadaniach.

Dzień w internacie

Dzień w internacie wygląda mniej więcej tak: - *Wstajemy rano, my-*

jemy się, idziemy na stołówkę na śniadanie lub jemy w pokoju (lub wcale). Potem oczywiście szkoła, obiad, odrabianie lekcji. I wreszcie idziemy spać... Teoretycznie cisza nocna jest od godziny 22.00, natomiast praktycznie odtąd, gdy przynajmniej 70% mieszkańców śpi. Czy to nie przypomina w części normalnego trybu życia każdego z nas?

Wady i zalety

Istnieje jednak wiele wad, na przykład ciężkie warunki do nauki. Na szczęście szkolna czytelnia jest otwarta do godziny 16.00, to duże ułatwienie. Oto komentarz osoby dojeżdżającej, która nie mieszka w internacie: - *Nie chciałabym tam mieszkać. Warunki do nauki są straszne. Cisza nocna prawdopodobnie o 10.00, a to za wcześnie, żeby się wszystkiego nauczyć. Cóż, raczej tam nie balują. Siedzą i się kują. Ciągłe kolejki do łazienki, niewygodne łóżka... No ale przyznam, że czasami może być śmiesznie!* - przytłaczająca opinia...

Główną zaletą internatu jest to, że uczniowie mają śmiesznie blisko do szkoły - oni wręcz mieszkają w szkole! Kolejna sprawa - możesz być ciągle w kontakcie z kumplami, a co więcej... bez rodziców! Czasem to dobrze, czasem to źle. To zależy pewnie od osoby. Mieszkańcy dobierani są w pokojach wiekowo, co zmniejsza między nimi dystans, często są to osoby z tej samej klasy, ale nie zawsze. Jednak ten, kto raz zamieszkał w internacie, nie chce już stamtąd odchodzić: - *My kochamy internat! Możemy tu mieszkać ciągle! Już byśmy się nie wyprowadzili!* - mówiły mieszkanki. W takim miejscu właśnie są zawierane przyjaźnie na całe życie. Po ciężkim dniu w szkole wszyscy

przychodzą na stołówkę, to doskonała okazja, żeby wygadać się na każdy temat, chociażby dlaczego z języka obcego jest w dzienniku jeden zamiast pięć...

Co na to inni?

Różne są opinie na temat internatu. Niektórzy marzą, żeby przez cały tydzień nie mieć na głowie domowych spraw, nie słuchać zarządzenia rodziców, marudzenia młodszego brata. Ponadto życie wśród najlepszych kumpli. Jednak każdy ma inne zdanie, niektórzy mają internat za więzienie. - *Jak można siedzieć w szkole cały tydzień? Można się zatępić!* - mówią niektórzy. Wyobraźmy sobie sytuację, w której rodzice oznajmiają dziecku, że będzie musiało mieszkać w szkolnym internacie: - *Nie! Tylko nie do tego więzienia!* - to chyba jednak przesada. Mieszkańcy nie narzekają na swój los, są bardzo zadowoleni. Mają wiele wrażeń, ponieważ większość czasu spędzają z kolegami i koleżankami, mogą się pojawić różne niesamowite historyjki, czasem straszne, czasem nie z tego świata, często śmieszne.

Internat jest miejscem, które dla wielu nigdy nie otworzy swoich tajemnic. Mieszkańcy uważają je za całkowicie naturalną rzecz. Teoretycznie nie musi być w tym nic ciekawego. Ale... Oni stworzyli tam rodzinę, pomagają sobie nawzajem, pocieszają, cieszą się i płaczą razem. Mają sekrety, o których nikt nie wie. Poza tym tylko wtajemniczeni wiedzą, dlaczego dobrze jest mieszkać po lewej stronie... ;)

Joanna Felczak

Uwaga! - nadchodzi depresja

Na dworze coraz chłodniej, lato już dawno za nami, liście spadają z drzew a Ciebie dopada smutek. Gdy przychodzisz do domu ze szkoły, na dworze robi się już ciemno, nie masz na nic ochoty. Są to pierwsze objawy jesiennej depresji. Długie ciemne wieczory, brzydka, szara pogoda, stukający w szyby deszcz - to wszystko wpływa na nasz nastrój. Jak się przed tym uchronić? Co zrobić, by nie czuć się samotnym i opuszczonym?

Specjaliści twierdzą, że depresję jesienną wywołuje brak lata, ciepła, światła i aktywności. Nie chce Ci się jeść, wychodzić na dwór i odrabiać lekcji? To są pierwsze objawy tej dolegliwości, która dotyka coraz szersze kręgi, a bagatelizowanie tych objawów może spowodować poważne uszczerbki psychiczne a w skrajnych przypadkach doprowadzić nawet do myśli samobójczych!

A teraz kilka słów o tym, jak pozbyć się jesiennej chandry. Po pierwsze i chyba najważniejsze - zmień stosunek do samego siebie,

myśl pozytywnie, o sobie wypowiadaj się w samych superlatywach, przed lustrem mów, co Ci się w sobie podoba, jakim jesteś wspaniałym człowiekiem. To wszystko poprawi Twoją samoocenę.

Staraj się rozmawiać z innymi jak najczęściej, opowiadaj przyjacielom o swoich problemach i radościach. Spotykaj się z ludźmi „kipiącymi” energią. Nie tłum wszystkich emocji w sobie, tylko dziel się nimi z innymi.

Żeby zwalczyć otaczającą Cię zewsząd szarość, używaj w swoim otoczeniu kolorów. Ubieraj się na zielono - kolor nadziei, żółto czy czerwono, kup sobie kolorową pościel, na ścianie w pokoju powieś kolorowy rysunek.

Korzystaj ze słonecznych chwil i w tym właśnie czasie wychodź na spacer. Może trudno w to uwierzyć, ale nasz organizm magazynuje energię słoneczną, która przydaje się nam w szare i nudne dni.

Słuchaj muzyki nastrajającej pozytywnie, żywej, skocznej, tak

aby podnieść swoje ciśnienie, a tym samym poprawić samopoczucie. Jeżeli chodzi o posiłki, to staraj się spożywać dużo owoców, szczególnie jabłek, które zawierają mnóstwo węglowodanów.

Wracaj myślami do miłych dla ciebie chwil: wspominaj wakacje, święta, spotkania z przyjaciółmi, śmieszne sytuacje, które cię spotkały. Zmień coś w swoim życiu, tak aby nie było monotonne np. zapisz się na lekcje tańca czy zacznij chodzić na basen.

Odnajdź się w rytmie całego roku - pomyśl sobie, że tak musi być, że liście spadają z drzew a spadają po to, żeby za kilka miesięcy na ich miejscu pojawiły się nowe, że to naturalna kolej rzeczy.

Jeżeli nie pomogą powyższe rady i Twoje samopoczucie się nie poprawi, odpowiednią dla Ciebie powinna być terapia światłem, a jeśli i to nie pomoże, powinieneś porozmawiać z kimś dorosłym i zgłosić się na specjalistyczne leczenie!

Jakub Brojek

Rosyjska ruletka

Dostajesz, drogi Czytelniku, do ręki rewolwer z sześciokomorowym bębenkiem. Własnoręcznie, drżącymi palcami, wkładasz do jednej z komór nabój, uderzasz bębenek - obraca się długo, strach najwyraźniej dodaje Ci sił - aż wreszcie rewolwer jest gotowy do gry. Rumiana, słowiańska twarz właściciela broni rozjaśnia się w uśmiechu, kiedy daje Ci jedyną możliwość wyboru: kto ma

strzelać pierwszy?

Jakby nie patrzeć, masz problem, i to poważny: czego byś nie wybrał, tak czy inaczej musisz przyłożyć sobie rewolwer do skroni i nacisnąć spust. Być może przebłysk sprytu podpowiada Ci, żeby wymówić się od przywilejów gościa i oddać pierwszeństwo partnerowi - zawsze jest szansa, że pocisk tkwi w pierwszej komorze, a wtedy ominie Cię wątpliwa przy-

jemność przykładania sobie lufy do głowy. A może jesteś na tyle zdesperowany, że wolisz powtórzyć za José Millánem Astrayem: *Viva la Muerte!*

Każda z tych dwóch decyzji może okazać się dobra - to zależy od drobnego szczegółu gry: od tego mianowicie, czy po każdym strzale kręci się ponownie bębenkiem, czy też nie.

Sytuacja pierwszego gracza jest taka sama niezależnie od przyjętego wariantu: sześć komór i jeden nabój, to daje $1/6$, czyli niecałe 17% szansy na przegraną i $5/6$, to jest trochę ponad 83% szansy na przeżycie (co wcale nie oznacza jeszcze wygranej). Jeżeli pierwszemu graczowi się poszczęści, odetchnie głęboko i drżącą ręką poda broń partnerowi. I co wtedy?

Zastanówmy się nad pierwszym wariantem gry: wówczas gracz drugi ponownie zakręci bębenkiem. Znowu mamy sześć komór i jeden pocisk, czyli sytuacja teoretycznie jest taka sama jak przed chwilą. Ale drugi gracz dostanie broń do ręki tylko wtedy, jeśli pierwszy przeżyje. Dzięki temu przed rozpoczęciem gry, jeszcze zanim dowiemy się, czy Los będzie łaskawy dla pierwszego desperata, możemy policzyć szansę na śmierć drugiego gracza: ta wynosi $(5/6)$ razy $(1/6)$, czyli trochę poniżej 14% (a szansa na przeżycie, oczywiście, trochę ponad 84%). Jeżeli drugiemu graczowi się poszczęści i usłyszy tylko suchy trzask iglicy, pierwszy gracz znów zakręci bębenkiem i ponownie spróbuje szczęścia. I co teraz? To już trzeci strzał i chociaż nadal mamy sześć komór z jednym pociskiem, to żeby strzał mógł okazać się „udany” (jakkolwiek to brzmi), dwa wcześniejsze musiały być „nieudane”: szansa na to wynosi $(5/6)$ razy $(5/6)$ i razy $(1/6)$, czyli niecałe 12%. Czwarty strzał będzie śmiertelny z prawdopodobieństwem niecałych 10%, piąty - 8% i tak dalej. Ogólna zasada jest prosta: możesz zginąć tylko wtedy, jeżeli wszyscy przed Tobą przeżyją.

Sam bez tych wszystkich wyliczeń doszedłeś do podobnego wniosku, który wydał Ci się oczywisty, a przy tym bardzo podnoszący na duchu: jeśli ktoś zdąży zginąć przed Tobą, to Ty będziesz bezpieczny. Stąd, jeżeli przed każdym wystrzałem kręci się bębenkiem, postaraj się strzelać jako drugi - a gdy nieszczęsnych graczy jest więcej, to jako ostatni.

A co, jeśli bębenkiem kręci się tylko raz, przed pierwszym strzałem?

Pierwszy gracz nadal ginie z tym samym prawdopodobieństwem równym $1/6$. Jeżeli jednak przeżyje, sytuacja drugiego gracza jest mniej przyjemna niż w pierwszym wariantcie: przecież zostało już tylko 5 komór, a w którejś z nich na pewno musi być pocisk. Jakie jest prawdopodobieństwo śmierci drugiego gracza? Liczymy podobnie jak w pierwszym przypadku: $(5/6)$ razy $(1/5)$; piąteczka ładnie się skraca i zostaje $1/6$, czyli znowu niecałe 17% szansy na opuszczenie najlepszego ze światów. Czyżby kolejność nie miała tym razem znaczenia? Żeby zginąć od trzeciego strzału, pierwszy i drugi musiałyby być „nieudane”: $(5/6)$ razy $(4/5)$ razy $(1/4)$ (tak, już tylko 4 komory) - znowu wszystko nam się skraca i zostaje $1/6$. I tak dalej, i tak dalej... Szansa na śmierć jest taka sama przy każdym z sześciu strzałów - nie trzeba chyba wyjaśniać, dlaczego najpóźniej szósty strzał musi okazać się śmiertelny?

Racjonalnie rzecz biorąc, jeśli nie kręci się każdorazowo bębenkiem, to nie ma znaczenia, czy strzelasz jako pierwszy, jako

drugi, czy np. jako ostatni z sześciu graczy. Gdy zaś organizator gry nie raczy Ci zdradzić, który wariant preferuje, strzelaj jako ostatni: w pierwszym wariantcie możesz zyskać życie, w drugim - teoretycznie nie masz nic do stracenia...

Ale tu opuszczamy już królestwo matematyki i przechodzimy do dziedziny psychologii. Jeśli tchórzliwie wybierzesz strzelanie jako ostatni, nie będziesz miał nadziei. Jedyne, co Ci pozostanie, to *Schadenfreude*, gdy zginie któryś z nieszczęśników przed Tobą - lub pewna śmierć, bez cienia nadziei, jeśli wszyscy oni przeżyją.

Dlatego, jeżeli jesteś pewien, że to właśnie w drugim wariantcie ruletki przyszło Ci ryzykować życie, strzelaj jako pierwszy. Nawet jeśli zginiesz, towarzysze niedoli zapamiętają Twoją odwagę - a ci mniej rozeznani w matematyce dodatkowo uznają to za poświęcenie...

Na koniec jeszcze jeden oczywisty wniosek: największe prawdopodobieństwo przeżycia - niezależnie od wariantu rosyjskiej ruletki - daje, jeśli to tylko możliwe, niegranie w nią - czego i Wam, i sobie życzy

Michał Kaftanowicz

(Przy okazji: norweski zespół Kaisers Orchestra poświęcił grze w rosyjską ruletkę utwór Bak et Halleluja, który służył mi jako inspiracja do pisania tego tekstu. Rzecz do znalezienia na Youtube - polecam!)

A Ty? - Co robisz w piątkowe popołudnie?

Nie od dziś wiemy, że Płońsk centrum rozrywki raczej nie stanowi. I – powiedzmy sobie szczerze – długo stanowić nie będzie. Czy oznacza to, że każdy weekend musimy spędzać, włączając się pustymi ulicami, siedząc w domu czy szukając atrakcji w stolicy?

Wieczór w przytulnej knajpcie

W ciągu ostatnich kilku lat w naszym mieście powstało sporo dość ciekawych kawiarenek, przypominających nawet te wielkomiejskie. Otwarcie bardzo dziś popularnej *Cafe Arki* mieszczącej się przy ul. Warszawskiej udowodniło, że również w Płońsku są ludzie zainteresowani wieczorami z poezją przy dobrej kawie bądź kawałku sernika. *Cafe Arka* jest również świetnym miejscem spotkań z przyjaciółmi. Są tam organizowane różnego rodzaju imprezy takie jak choćby sylwester, ale można również wynająć salę na prywatne spotkania, czy uroczystości.

Z upływem czasu pojawia się coraz więcej lokali tego typu, oferujących interesujące zaplecze gastronomiczne, gwarantujących miłą obsługę i przystępne ceny. Wśród nich zwraca uwagę *Zielony zakątek*, bar sałatkowy przy ul. Płockiej. Bogate, zmieniające się okresowo menu, świeże, lekkie potrawy i przemiła obsługa to czynniki sprawiające, że lokal ten to moim zdaniem jedno z najprzyjemniejszych miejsc w Płońsku. Panująca tam wręcz rodzinna atmosfera zdecydowanie uprzyjemnia konsumpcję. Pracownicy do każdego klienta podchodzą indywidualnie, co sprawia, że gość czuje się ważny i wizyta w pełni go satysfakcjonuje.

Wielu młodych ludzi odwiedza również *Bajkę*. W tygodniu młodzież spotyka się tam na bilardzie, bądź po prostu aby odpocząć po szkole i coś zjeść. Co

tydzień są tam organizowane dyskoteki z udziałem płońskich DJ-ów i większa impreza raz w miesiącu, na którą przyjeżdża kilku świetnych DJ-ów z innych miast.

A może na sportowo?

My, uczniowie, po całym tygodniu spędzonym w ławce szkolnej, powinniśmy swój wolny czas, którego mamy przecież tak niewiele, odpowiednio organizować. Wskazaną formą wypoczynku byłby tutaj wypoczynek aktywny. Jakże świetną formą relaksu jest basen znajdujący się przy MCSiR. Jest tam część rekreacyjna wyposażona w bicz wodne, jest również zjeżdżalnia i dwa zwykłe baseny, gdzie można trenować swoją umiejętność pływania. Możliwość uprawiania sportów, oprócz Hali Sportowej, daje nam ostatnio również kompleks klubu „fit&gym” oraz kręgielni. Profesjonalnie prowadzony aerobik i nowoczesna siłownia dają szansę uprawiania aktywności fizycznej na wysokim poziomie. Znajdująca się obok kręgielnia jest głównie miejscem rozrywki, gdyż jest tam wiele automatów do gier i, jak sama nazwa wskazuje, tory do gry w kręgle. Jednak to nie wszystko – jest tam również serwowane jedzenie. Dobra zabawa i relaks, to właśnie to, czego potrzebuje każdy człowiek po tygodniu ciężkiej pracy. Skoro jest tyle plusów, to miejsce to powinno – przynajmniej takie mam wrażenie – cieszyć się dużym zainteresowaniem mieszkańców miasta. Jakież więc było moje zdziwienie, kiedy w sobotni wieczór świeciło pustkami? Zawsąd słyszy się pozytywne opinie dotyczące warszawskich klubów tego rodzaju. Okazuje się jednak, że nasz lokalny takiemu zainteresowaniu nie wzbudza. Nasuwa się więc myśl, że sam fakt umiejscowienia w stolicy nada-

je prestiżu. Zamiast narzekać, Płońszczanie powinni rozejrzeć się za ciekawymi miejscami we własnej okolicy.

Wyciskacz łez, thriller, a może komedia?

Takie gatunki filmowe proponuje nasze płońskie kinie. Niestety nie możemy się pochwalić najlepszym wystrojem kina, ale nie ma co narzekać, podczas seansu i tak panuje ciemność. Nowości polskiego kina są wystawiane u nas dość szybko, na zagraniczne filmy musimy czekać dłużej, ale i tak po jakimś czasie pojawiają się w naszym mieście. Kino nie skupia się tylko na jednym gatunku, dlatego każdy może znaleźć tam coś odpowiedniego dla siebie. Obecnie w naszym kinie możemy obejrzeć film Andrzeja Wajdy „Katyń”, na który wybierają się niektóre z płońskich szkół.

Płońsk nie jest miastem nudów! Tutaj również możemy ciekawie spędzić czas w sposób, jaki nas zadowala, o ile rozejrzemy się dookoła i docenimy to, co mamy. Należy zwrócić uwagę władz miasta na problemy młodzieży. Duża ich część wynika z braku możliwości rozwoju, młodzież chwytą się różnych sposobów (narkomania, wandalizm), aby zabić nudę i znaleźć odskocznię od szarej rzeczywistości. Nie musimy koniecznie szukać jej w wielkich miastach, bo na miejscu mamy zagwarantowanych wiele form rozrywki. Chciałam pokazać, że również kluby, kawiarenki, kino znajdujące się w naszym mieście, mogą być taką odskoczną dla płońskiej młodzieży.

Justyna Palusińska

Ada Szymborska

Z pamiętnika nastolatki

Odcinek 1.: Przedślubna paranoja

Piątek, 13 kwietnia

Cały dom zanosi się od krzyków. Każdy ma coś do powiedzenia. Bałagan niesamowity: na stole w salonie brakuje tylko zepsutego kranu, obok półki na książki stoi dziesięć pustych butelek po piwie i, nie przesadzając, ze dwadzieścia parę puszek po Coli Light. Na kanapie stopy ubrań, brudnych i czystych, mokrych i suchych, starych i nowych. Pilota od telewizora znalazłam przed chwilą w akwarium pełnym molinezji i gupików. Dywan nie przypomina dywanu sprzed imprezy, okruszki od ciastek, orzeszki i pestki sto-

necznika stanowią teraz jego główną ozdobę, o ile można to tak nazwać. Na podłodze stoją jeszcze do połowy pełne szklanki, obok fotela pełno rozdeptanych paluszków i krakersów. Mały pokój wygląda normalnie, to znaczy bałagan jest taki jak zwykle, bo tam nigdy nie sprzątano. Pokój dziecka. Mało tego! Pokój dorastającego dziecka! Na myśl o dorastaniu, dojrzewaniu - czy jak to tam kto nazywa - rodzicom cierpnie skóra. Wiadomo - hormony, randki, TRADZIK! A w dodatku nazwij takie dziecko dzieckiem, to jeszcze usłyszysz: JESTEM

JUŻ DOROSŁY/DOROSŁA! Wiem, bo ja jestem takim niby dzieckiem, oczywiście dorosłym dzieckiem!

Łazienka na szczęście ocalała, to znaczy kompakt, wanna, umywalka i brodzik są na swoich miejscach. Lepiej nie zwracać uwagi na tę ogromną plamę wody, która powstała, ponieważ ktoś rozbił porcelanową sputczkę... Za to kuchnia wygląda jak pobojuwisko! Jak koszary! Ktoś krzyczy:

- Gdzie jest pieprz?! Czy ktoś widział pieprz?!

- Po co ci pieprz w tej chwili?! - wrzeszczy ktoś z innej strony.

- A jak mam jeść pomidora bez pieprzu?!

- Nie jedz wcale! - wiadomo, pieprz nie zostanie znaleziony przez najbliższych kilka dni.

Wracając do bałaganu, jest on skutkiem wydarzenia niewątpliwie ważnego dla całego domu. Paula wychodzi za mąż, a to wszystko, co widać, to pozostałości po jej wieczorze panieńskim. Przyszło pewnie z dziesięć osób! Paula, mama, ja, Kaśka, przyszła teściowa Krystyna, Justyna, Krzyśka, Martyna, Olka, Aśka i szefowa Pauli, Renata Koza. Zabawa zaczęła się już od samego rana... Wszystkie kobiety tańczyły, śpiewały, odczywały najróżniejsze rytuały przedślubne, ale tylko dlatego, że pani Koza jest bardzo przesądna. Paulina była tak zenerwowana, że zapomniała o tym wieczorze, zorientowała się do-



piero po przyjściu Krzysi. Krzyska była osobą, którą co prawda można było zaprosić na taką zabawę, ale tylko z konieczności. To taki smutas rodzinny, szara owca. Nic się nie uśmiechnie, nie powie. Właściwie wypita tylko Colę i poszła do domu. Ale cóż, kuzynka to kuzynka - zaprosić to mus.

Kasia i Justyna to przyjaciółki Pauli ze studiów. Oczywiście studiują pedagogikę.

- Tak, nasza Paulinka będzie nauczycielką - chwalili się rodzice znajomym.

Ach, ta Paulinka... kochane pierworodne dziecko... Jestem od niej młodsza tylko o cztery lata! Jednak ona uważa, że... Nieważne, jutro wychodzi za mąż, więc okazę trochę zrozumienia. Teraz wszystko się kręci wokół niej, to znaczy już od trzech miesięcy się kręci, ale teraz jeszcze szybciej i każda sprawa poruszona przez kogokolwiek w domu ma związek z tym ślubem. Ale nic. Jest 7.30, a ja mam dzisiaj klasówkę z francuskiego.

Nienawidzę szkoły! Jak ta czarownica może przesympać noce?! Nie dręczy jej sumienie? Przecież wiedziała, że Paula ma imprezę i że tam będę, i że nie mogłam się nauczyć!!! Wzięła mnie do odpowiedzi! To powinno być karane! A z czego? Oczywiście z mojego ulubionego tematu - dwudziestolecia międzywojennego.

Na francuskim mi nawet dobrze poszło, ale mam złe zdanie: *Je l'aime aussi*. Bo napisałam: *Je t'aime aussi*. A to ogromna różnica - może mi się uda wmówić nauczycielce, że takie dziwne „l” piszę. Ona słabo widzi, ale nie chce się

do tego przyznać i dlatego nie nosi okularów. Już nieraz ją wykiwaliśmy. Tylko że w domu okulary zakłada, bo nikt nie widzi. Więc wolimy, żeby klasówki sprawdzała w szkole.

Zaraz idziemy z mamą do kosmetyczki, żeby się na jutro umówić. Paulina boi się, że nie zdąży wszystkiego zrobić. Firmy cateringowej nie zamawialiśmy, bo za dużo chcieli. A i tak jest tyle wydatków! A jaką mam piękną sukienkę na wesele! Ma cienkie ramiączka, sięga mi do kolan, jest biała w czerwone wzorki. Do tego mam bordowe buty na wysokim obcasie... Jak mi jeszcze makijaż robią, to już w ogóle będę cudmiód.

Właściwie to cieszę się, że Paula wychodzi za mąż. Jej narzeczonny, Marcin, jest nawet sympatyczny. Przystojny to on nie jest, ale Paula i tak nigdy nie miała dobrego gustu, najważniejsze zresztą, że ma swoje mieszkanie. Od razu się tam wprowadzają. Poza tym, odkąd się zaręczyli, Paula daje mi częściej pieniądze. Jakoś tak wyfajniała przy nim. No i tylko tak dalej. Nie mogę się doczekać, kiedy zostanę ciocią! Jeszcze na razie o tym nie myślę... Aha! Już ja Paulę znam. W końcu pedagog. Ale dwadzieścia lat to jeszcze trochę za wcześnie. I tak już za mąż wychodzi szybko.

Paula zwariowała. Zamknęła się w łazience i nie chce wyjść. Krzyczy coś, że jest brzydka i że na własny ślub tak nie wyjdzie. Nie wiem, o co chodzi. Mama woła:

- Paulina! Wychodź! Prędko! Ja

potrzebuję! Wytaż!

- Akurat! Chcesz mnie stąd wywabić! Nie nabiorę się na to!

- Paulino! Tu ojciec! Masz w tej chwili opuścić łazienkę, gdyż ja potrzebuję skorzystać!

- Nie wyjdę! Nie wyjdę!

- Wytaż!

- Nie wyjdę! Nie wyjdę!

- Paulina!

- Nie wyjdę! Nie wyjdę!

- Otwieraj dziecko!

- Nie wyjdę! Nie wyjdę!

Paulina wychodzi w końcu z łazienki cała we łzach, z rozmazanym makijażem i rzuca szybko:

- Nie wyjdę!

- Już wyszłaś - zauważył spokojnie ojciec.

- Nie wyjdę za mąż!!! - krzyczy i wybiega z domu w białej sukni, z rozmazanym makijażem, z papilotami na głowie... To się nazywa stres przedślubny. Oj, co to się będzie działo!

(cdn.)

Joanna Felczak, 1 A

Opowiadanie bez tytułu

W niewielkim miasteczku dzień budził się ze snu. Zza chmur widać już było przebłyśki słońca, a w wielu domach zaczęły powoli wstawać rodziny - dzieci do szkoły, rodzice do pracy. Jednak nie wszyscy mieli zamiar witać dzień. Był wśród nich Symeon, który mieszkał w najgorszej dzielnicy tego miasta. Gdy gdziekolwiek coś zniknęło, dziwnym trafem znajdowało się w tym właśnie rejonie. Symeon mieszkał sam, no może poza kotem, który, niekarmiony, przywiązał się trochę za bardzo do ulicy. Nie można powiedzieć, żeby ten chłopak był odpowiedzialny. Właściwie to nie miał warunków do prawidłowego rozwoju - rodzice zaginęli bez śladu, innych krewnych nie miał. Tak więc Symeon nie trafił w dobre towarzystwo i właśnie dlatego nie miał zamiaru wstawać. W przeddzień siedział ze swoimi kolegami do późnej nocy.

Gdy zbliżało się południe, Symeon powoli się przebudził. Miasto tętniło życiem już od kilku godzin. Było dość głośno od samochodów, co może pomogło niektórym w pobudce. Chłopak wcale nie cieszył się, że wstał. Wiedział dobrze, że jego lodówka jest pusta a poza tym źle się czuł po ciężkiej nocy. Jak na złość wodę też mu odcięli. W dodatku, bo to nie koniec nieszczęść, nie miał pieniędzy. Pomyślał, że przyda mu się zastrzyk finansowy. Pracą rąk nie brudził (no chyba, że bycie kieszonkowcem to zawód). Przeszedł przez podwórko obskurnej kamienicy, mijając przy tym sąsiadkę. Zawołała do niego na powi-

tanie, ale zamiast odpowiedzi Symeon zaklął po cichu. Żył ze swoimi sąsiadami jak pies z kotem. To dlatego, że większość lokatorów to starsze małżeństwa i nie lubili, kiedy on przychodził w nocy, zakłócając ciszę nocną.

Jego aktualny plan polegał na znalezieniu odpowiedniej ofiary. Najlepiej samotnie szwendającej się kobiety z torebką. Przeszedł kilka ulic i już znalazł swoją wybraną. Zakradł się do niej po cichu, niczym dzikie zwierzę do niczego niespodziewającej się ofiary. Jeden chwyt i torebka już była jego. Kobieta zaczęła krzyczeć o pomoc, ale Symeon dał dyla. Bardzo się jednak przeliczył, bo w torebce było pieniędzy jak na lekarstwo. Musiał wyruszyć jeszcze raz na łowy. Poszedł tym razem w inną stronę miasta. Gdy tak szedł, zobaczył swojego przyjaciela. Gruby i niski chłopak odezwał się do niego cienkim głosem:

- Cześć, jak tam po wczorajszym?
- Siema, Chryzostom! Mówiąc szczerze, to chce mi się trochę pić.
- Spoko, chodź do sklepu, to coś kupimy.
- Tylko że jest jeden problem...
- Jaki?
- Nie mam kasy.
- To mi nowość powiedziałaś... A jak miałaś zamiar przeżyć dzisiejszy dzień?
- Jak zwykle, skroić jakąś babkę.
- Daj spokój. Mam pieniądze, kiedyś mi oddasz.

Poszli razem do sklepu. Po drodze

zobaczyli policję rozmawiającą z kobietą, którą Symeon dopiero co okradł. To mu pokrzyżowało plany. Szybko, jak oparzony, wbiegł do parku. Jego kolega zaraz za nim.

- Policja depcze ci po piętach? Co będziesz teraz robił?
- To samo, co do tej pory, mam po prostu podniesioną poprzeczkę.
- Znam inną drogę. Chodź, ale bądź ostrożny.

Poszli dalej. Gdy zrobili zakupy i stali w kolejce do kasy, Symeon zręcznym ruchem ręki wyciągnął portfel mężczyźnie stojącemu przed nimi. Zauważywszy to, jego kolega powiedział mu, że bardzo ryzykuje, na co chłopak uśmiechnął się tylko szyderczo. Po kilku godzinach chodzenia po mieście rozstali się.

Było już około godziny dziewiętnastej. Symeon poszedł do kolegów. Tworzyli klub, nieoficjalny, bo klub pseudokibiców oficjalnym być nie może. Kibicowali miejscowej drużynie L.Pany, ale nienawidzili klubu N.Złódź. Kibice obu drużyn od lat darli ze sobą koty. Ich celem było pozbycie się przeciwników, ale tak naprawdę, jaki to miało sens - nikt raczej się nie zastanawiał. Po prostu sama walka dawała im większą przyjemność niż wygrana ulubionego klubu. Pseudokibice posługiwali się pseudonimami. Symeon okazał się Sebaldem. Na zebraniu Symeon dowiedział się, że niedługo odbędzie się mecz pomiędzy zwaśnionymi klubami i mają się odpowiednio przygotować. Każdy wiedział, że przygotowanie oznacza zaopatrzenie się w bejzbole, gazy i rury - jednym słowem wszystko, co

może wyrządzić krzywdę innym. Po zebraniu koledzy porozchodzili się w różne strony. Sebald uczynił to samo.

Symeon nie musiał się długo przygotowywać do meczu. Wielokrotnie karany za pobicia na meczach, nie był w tej kwestii żółtodziobem. Była to dla niego zarówno rozrywka, jak i sport. Jednak tym razem to wyższa szkoła jazdy. Mecz miał się odbyć na stadionie N., co oznaczało, że koledzy Sebalda, jak i on sam, są w mniejszości. Wieczorem odbyło się kolejne zebranie pseudokibiców. Opracowali niemalże wojskową strategię. Każdy dostał zadanie i bilet na miejsce, które miał zająć, rozdano także broń. Znalazło się kilka pistoletów, niektóre straszaki, gazówki a inne na ostrą amunicję. Sebald został przewodniczącym pierwszego sektora. Otrzymał, tak jak chciał, Magnum 12mm, ale miał korzystać z niego w ostateczności, więc dostał jeszcze gaz i metalową rurkę.

Symeon wstał wcześniej niż zazwyczaj. To był dzień meczu, dzień, w którym mógł okazać się dla kolegów bohaterem albo wielkim przegranym. Było to dla niego naprawdę ważne. Zostało mu jeszcze trochę pieniędzy, ale stres nie dawał mu jeść. Nie wiedząc, co ma zrobić, poszedł do swojego grubego i niskiego kolegi, aby oddać mu dług. Kolega Sebalda zobaczył podekscytowanie na jego twarzy i chciał wiedzieć, co jest tego powodem. Gdy Sebald wyjaśnił mu przyczynę, Chryzostom zbladł. Wiedział, że to już nie jest zabawa, ale gra na śmierć i życie. Może stracić najlepszego przyjaciela. Atmosfera

zmieniła się radykalnie. Już nie było entuzjazmu, rozmowa przypominała raczej ostatnie pożegnanie.

- Nie rób tego - powiedziała Chryzostom, próbując powstrzymać przyjaciela.

- Wszyscy na mnie liczą... Czas już na mnie - rzucił Symeon, ruszając do wyjścia.

Zbliżała się godzina, która mogła się okazać ostatnią dla młodych pseudokibiców. Wszyscy byli już na miejscu, mimo że mecz dopiero za godzinę. Każdy czytał plan bójki od deski do deski.

Dla każdej drużyny było osobne wejście. Kiedy kibice L.Pany szli zająć miejsce, Sebalda olśniło. Jego plan był taki - przed samym końcem meczu opuszczą trybuny i przeniosą się przed wejście dla N. Oszczędzą sobie kłopotu ze stadionową ochroną i kosztami za naprawę obiektu sportowego.

Pierwsze minuty meczu. Przewagę miała L. i już w 12. minucie pseudokibice świętowali gola, ale wynik i tak nie miał znaczenia. Dla tej grupy priorytetem było wyrządzenie krzywdy przeciwnikowi. Koniec zbliżał się nieubłaganie. Teraz wszyscy patrzyli na Symeona, który miał im dać znak. Dziesięć minut przed końcem, gdy było już 6:0, przywódca grupy podniósł rękę. Każdy z nich szedł do wyjścia. Pseudokibice drużyny przeciwnej byli zupełnie zdezorientowani, myśleli, że się wycofują. Nie byli świadomi tego, co miało wydarzyć się za chwilę. Koniec meczu. Z bramki wychodzili kolejno kibice, a gdy już wyszli, pojawili się tysi pseudokibice z szalikami. Co gorsza, z tyłu cze-

kała druga grupka fanów N. Groza wisiła w powietrzu. Było cicho jak makiem zasiał.

W tej chwili Symeonowi życie przeleciało przed oczami. Gdy doszedł do siebie, krzyknął: „Do boju!”, to był punkt zapalny istnej wojny, która w chwilę później się rozpoczęła. Obydwie grupy rzuciły się na siebie, a wyglądało to jak zmieszanie się dwóch barw - zielonej z czerwoną. N. miał przewagę liczebną, ale to o niczym nie przesądzało. L.Pany była o wiele lepiej przygotowana zarówno pod względem strategii, jak i broni. Tymczasem walka przeniosła się do miasta, tam dołączyły do walki oddziały policji. Setki uzbrojonych policjantów, armatki wodne, gazy łzawiące oraz gumowe pałki brały czynny udział w walce. Symeon jako dowódca trzymał się trochę z daleka, ale to nie znaczy, że próżnował. Położył pięściami kilku wielkich facetów, którzy okazali się kolosami na glinianych nogach. Miał już bardzo napuchniętą pięść i nie mógł walczyć wręcz. Kładąc kolejne grupki wrogów gazem, zauważył wśród walczących Chryzostoma. Gdy ich wzrok się spotkał, przez nieuwagę ktoś rozbił grubemu, małemu chłopakowi głowę bejzbolem. W tej chwili Sebald poczuł się, jakby wylano mu wiadro zimnej wody na głowę. Doznał szoku, następnie wyciągnął Magnum i zaczął strzelać na oślep. Szczęście w nieszczęściu, że nikogo nie trafił, ale oddziały policji nie mogły tego zignorować. Symeon poczuł ból w okolicy serca. Zrobiło mu się chłodno i osunął się omdlały na ziemię. Walka toczyła się dalej.

Mateusz Jaromin

Krótkie opowiadanie o miłości

Weszła nie pytając o pozwolenie
Do schludnego białego domu
Czyjejś duszy
Rozgościła się, chciała zostać na dłużej
Lecz natura pchała ją wciąż
Do innych białych domów
Nie posprzątała po sobie
Odeszła bez pożegnania
Miłość

Paulina Chyl



~~~~~

szalał za nią biegł za nią prostą szeroką drogą czy dzień czy noc bez tchu bez opamiętania bez żalu za innymi widział tylko ją a ona zanosila się śmiechem w dzień jaśniała na horyzoncie nieuchwytna księżyc kochanek nocy oświetlał jej białą sukienkę o ciemnej porze kiedyś śmiech ustał księżyc nie uchwycił świetlistej tkaniny sukni horyzont pochłonał ukochaną znalazł się sam na pustyni z dala od bliskich bez żadnych przyjaciół drogę zatarał piach nie ma już odwrotu dłużej jej nie szukał i choć jego serce topi się w czasie nie może nawet czas wyleczyć ran zadanych miłością

Paulina Chyl

